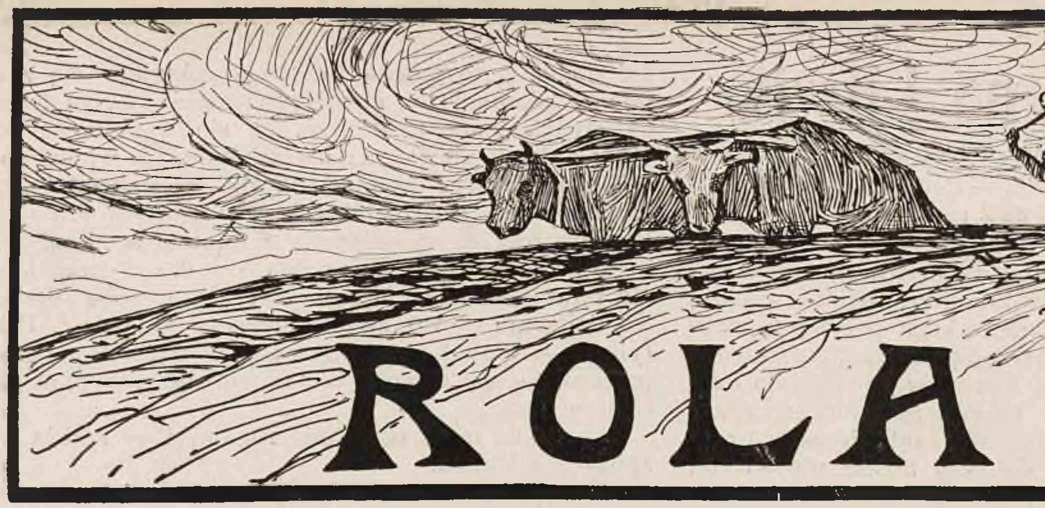


Rok IV.
Kraków, 16 października 1910 r.
Nr. 42.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Zbrodnia na Jasnej Górze.

Straszne odkrycia w ostatnich dniach dziesięciu, przejmują zgrozą i boleścią serca wszystkich, jak daleko sięga polska mowa i biją polskie serca. Z boleścią tą łączą się także inni katolicy świata. Największa świętość narodowa, Jasna Góra, została splugawiona zbrodniami, tem straszniejszemi, że dopuścił się ich kapłan, zakonnik! Zbrodnie tak popotworne, że nie można się oprzeć myśli, iż niespełna zmysłów był chyba ten, kto ich dokonał, niespełna zmysłów ci, którzy mu pomagali. Ciężko o tem myśleć, tem ciężej pisać. Lepiej wolelibyśmy zamilczeć, ale milczeć nie można. Kto pisze gazetę, jest obowiązany zdawać czytelnikom sprawę ze wszystkich ważnych wypadków. Są chwile, w których pióra odłożyć na bok nie wolno, choć bierze się je do ręki z uczuciem boleści i krwawiącem sercem.

A zatem cóż się podziało na tej Jasnej Górze, z której dotychczas samo tylko błogosławieństwo rozchodziło się od Cudownego Obrazu na Polskę?

Dnia 25 lipca b. r., pod wsią Kłomnicami, o parę mil od Częstochowy, wyłowili pastuszkowie ze stawu wielką kanapę. Zajrzeli do tej dziwnej zguby i odskoczyli z odrazą! W środku kanapy, zaszyty w rogożę, skrwawiony, leżał trup, okrutnie zamordowanego. Policya wzięła się do poszukiwań, ale nie nadaremnie policya rosyjska ma sławę, iż jest na to, aby niczego nie znaleźć. Szukano dwa miesiące bez skutku. Nie dowiedziano się nawet, kto był ów zamordowany. W gazetach jedni przypuszczali, że rozbójnicy zabili obywatela ziemskiego, który jechał z pieniądzmi po kupno majątku, inni powiadali, że to był szpieg, którego zabili socyaliści i t. d. Dużo było przypuszczeń, ale nikt nie wiedział nic pewnego.

Tak upłynęły dwa miesiące. Nagle rozeszła się straszna wiadomość, której nikt początkowo nie chciał wierzyć, że policya w swych poszukiwaniach dotarła do Jasnej Góry, że jeden z zakonników miał być w tę sprawę wmieszany. Przerażenie zapanowało w całej Polsce, ale myślano, że to braciszek, zatem półświecka osoba, może tu być wmieszana. Lecz zaraz na drugi dzień dowiedziano się — o zgrozo — że to ksiądz mszalny, zakonnik, Damazy Macoch, posiadający znaczenie w zakonie, dokonał strasznego czynu, że własną ręką zabił brata stryjecznego, Wacława Macocha, że potem uciekł, skoro tylko spostrzegł, że policya czegoś się kręci po Jasnej Górze i szuka. Kolejno, zaczęły wychodzić coraz okropniejsze rzeczy na jaw. Najpierw, że ksiądz ten niegodny zabił siekierą brata we śnie, a zamordował go pod wpływem zazdrości o bratową, do której zapałał grzeszną miłością, niepomny świętości swej sukienki kapłańskiej. Dalej dowiedziano się, że ten ksiądz, zaślepiony szatańską namiętnością, oddawna żył w grzesznym stosunku z tą kobietą, którą poznał przy konfesyonale, że najpierw odebrał cześć młodej dziewczynie a potem umyślnie wydał zamąż za brata stryjecznego, aby pokryć przed ludźmi grzeszny stosunek. Po zamążpójściu nie mógł znieść jej męża i sprowadził go do siebie, aby w nocy, jak zbójca, pozbawić go życia.

Jeszcze dalej! Aby mieć pieniądze na utrzymanie kochanki, kradł poprostu pieniądze, składane przez pobożnych pielgrzymów z całej Polski, ofiarowane na msze św. klasztorowi, o uproszenie łask Bożych za wstawieniem się Najświętszej Panny Częstochowskiej. Przez lat cztery skradł w ten sposób kilkanaście tysięcy rubli.

Ze wstydem i cierpieniem należy jeszcze dodać, że nie na tem kończy się ta zbrodnia. Oto ów Macoch nieszczęsny znalazł naśladowców czy pomocników w klasztorze pomiędzy zakonnikami, którzy, podobnie jak on, przywłaszczali sobie grosz pobożnych, złożony z Wiarą, Nadzieją i Miłością u stóp ołtarza Najświętszej Panienki. Dwaj byli tacy księża: O. Izydor Starczewski i O. Bazyli Olesiński.

Wszystko to co uczynił, opowiedział Macoch w Krakowie przed komisarzem policyi. Do Krakowa bowiem uciekł i tu się chciał schronić. Zaraz na dworcu schwyciła go policya, dająca baczność. Aresztowany zaraz się przyznał do wszystkiego i wydał wspólników. Zdaje się, że wyczerpał się szatan, podszeptujący mu tyle zbrodni, gdyż Macoch zaczął okazywać skruchę i nic nie ukrywał, nie bronił się. Oddany został do sądu w Krakowie, który niedługo wyda go sądom rosyjskim i tam, zdaje się, zapadnie wyrok sprawiedliwości ludzkiej nad nieszczęśliwym opętańcem. Jaki będzie wyrok Boski, tego ludzie wiedzieć nie mogą. Ale Namiestnik Chrystusowy osądził go już, gdyż do Częstochowy nadszedł telegram, że Ojciec św. rzucił na Macocha wielką klątwę kościelną. Przeklętem niech będzie między ludźmi imię tego, który poniżył godność stanu kapłańskiego, zbezcześcił miejsce święte i oblał krwią stopy ołtarza, do którego od wiek wieków spieszy naród cały po pociechę, ratunek i wstawiennictwo.

Krzyżacy na Litwie.

LXV. CIĘŻKIE OSKARŻENIE.

Więzienie Pojaty. — Obca staruszka. — Co łysa Katra mówiła Pojacie. — Obcy młodzieniec. — Straż przy drzwiach Pojaty. — Powrót mistrza.

Po obwinieniu tak niesprawiedliwem, nieszczęśliwa Pojata, zamknięta w komorze, daleko sroższej uległa niedoli, niżeli w początkach przybycia swojego. Pani Hubekowa, uderzona postrachem czarów, żadnych odtąd mieć z nią związków nie chciała i zatkawszy jak najstaranniej najmniejszą nawet szparę komory, ciągle się modliła, nie zaniedbywała przytem codzień dowiadywać się, czy mistrz nie wrócił, żeby mogła czemprędzej pozbyć się z domu tak niebezpiecznego gościa.

Hubek, jej małżonek, radby pocieszał Pojatę, ale bojąc się więcej żony, niz czarów, nie śmiał do komory zazierać; Milkier zaraz obróciwszy do komtura Ulrycha, nie prędzej aż z nim powrót obiecywał, jedyną tedy żyjącą istotą, którą raz na dzień widziała, była służąca, jeść jej przynosząca przezedrzwi od wałów, ale i te odwiedziny nietylko krótkie, lecz bolesne jej były, bo służąca, pytana nawet, odpowiadać nie chciała, a postawiwszy tylko naczynie z jedzeniem, oddalała się coprędzej i wtenczas Pojata najdotkliwiej uczuła okropność swego położenia. Gorzkie dni pędząc między czterema murami, nieraz myślała o opuszczeniu więzienia, którego nikt nie strzegł, lecz od dzieciństwa przyzwyczajona szanować wolę starszych, nieświadoma przytem dróg i wychodów z miasta, nie odważyła się na krok tak niebezpieczny.

Raz w południe, gdy stała we drzwiach, patrząc smutno na otaczające ją mury, spostrzegła wychodzącą z zakątków na wały chudą, trzęsącą się staruszkę w łatanem odzieniu, z podwiązaną pod brodą czapeczką, która z koszem w ręku często się zatrzymywała, pozierając po drzwiach i oknach, jak gdyby czegoś szukała. Chód jej na wiek tak podeszły, był dość jeszcze skory, lecz razem ostrożny; wiodąc niepewnem okiem po murach, zdała się lękać być postrzeżoną. Cały jej skład dziwny i niepojęty, wzrok bystry, głowa w ustawicznym ruchu i baczność na wszystkie strony, dawały poznać, że w niedobrych gdzieś dąży zamiarach. Skoro spostrzegła we drzwiach stojącą dziewicę, jak gdyby znalazła czego szukała, wnet się ku niej zbliżyła.

— Jak się masz, kumo kochana! — odezwała się do niej — zaraz cię poznałam, ale cóż mi tak smutno wyglądasz? Czy ci bieda dokuczać zaczęła? To zły znak, moja miła! W naszym stanie trzeba być zawsze wesołą. Słuchaj! gdybym ja była tak młodą i gdyby na mnie, jak na ciebie krakano, tobym z radości wyskoczyła, ale teraz trzeba statkować. Człowiek na tym świecie wiele może sobie poradzić, ale lat ująć, darmo, tego nie potrafi.

Pojata, zdziwiona tak poufałem starej zbliżeniem się, nie wiedziała, co odpowiedzieć i pytała, czego od niej żąda?

— Cóż to, czy mnie nie poznajesz? — rzekła, przekrzywiając trzęsącą się głowę — porzućże te żarty. Nazywam się łysa Katra z gdańskiego przedmieścia, nie dlatego łysa, żebym włosów nie miała, bo moje warkocze może jeszcze piękniejsze od twoich, ale dlatego, że mię raz w Ślązku z Łysej góry na łeb do rzeki strącono, otóż odtąd głowa mi się ciągle kołacze, ale jak kubek gorzałki w nią wleję, to zaraz inaczej. Zapewne słyszałaś o mnie nieraz i ja o tobie, kumo, także wiele słyszałam i pragnęłam cię poznać. Owóż, jakem się tylko dowiedziała, żeś do naszego miasta przybyła, biegłam cię zaraz odwiedzić, bo jużci, chociaż wiekiem starszą jestem cokolwiek, znam to dobrze, że się wam cześć odemnie należy, ale jak na nieszczęście, nie wiedziałam, gdzie mieszkasz; powiedzieli mi, że u kredenserza, wystaw sobie, ta dyablica Hubekowa, jak mnie tylko spostrzegła, wyleciawszy z miotłą na ulicę, gdyby opętana, ani mi dozwoliła do drzwi przystąpić, ale teraz zje licha, nacieszymy się z sobą dowoli. Spodziewam się też, że mię zechcesz odwiedzić. Patrz tylko! — mówiła, czyniąc na powietrzu różne znaki palcami — nie trzeba, jak to mówią, zasypiać gruszek w popiele.

— Nic, moja pani, nie rozumię! — rzekła niespokojnie Pojata.

— Co? nie rozumiesz — powtarzała urażona Katra — porzućże się drożyć, mnie zapewne nie stało, żebym piętnaście tysięcy wojska urzekła, ale przecie warta jestem, żebyś się mnie nie zapierała. Prawda, całe miasto gada teraz tylko o tobie, był czas, gdy o mnie więcej jeszcze mówiono. Ja ci nie zazdroszczę szczęścia, ale tak się swoich zapierać, to się nie godzi. Trzeba, żebyś wiedziała, że ja jeszcze także w panieńskim stanie, a w zasługach pono mi nie zrównasz. Cały wie Malborg, że mnie trzy razy w życiu pławiono*) w Wiśle, raz już nawet byłam na stosie, a przecież żyję jeszcze, a ty moja panno! co mi powiesz o sobie? Gdzieś się wody napiła? jakieś wytrzymała tortury? mów, oto stoisz smutna i zapłakana, jakbyś trzech nie umiała policzyć.

— Ja zasług nie przeczę — rzekła pełna zgrozy Pojata — lecz w moim stanie niedoli mam dość do myślenia, kiedy się zastanawiam sama nad sobą.

— Ktoby myślał, że prawda! gdybyś siebie pewną nie była, czyżbyś tu siedziała? Znam ja twoje myśli. Czekasz na to, ażeby się nasze wrogi do ciebie wzięły, a potem dopiero, nakręciwszy im karku, świśniesz w powietrze. Dobrze, dobrze, kumo kochana! tylko nie zapomnij o Hubekowej, wreszcie, jeśli się tobie tu cni, chodź do mnie, jużci lepiej zawsze swemu u swego.

— Dziękuję, ja muszę tu szukać spełnienia losu mojego.

— To się przynajmniej napijesz ze mną, nie lękaj się, gorzałeczka mojej własnej zaprawy. Piecze, ale dobrze smakuje...

Tak mówiąc, Katra dobywała z kosza flaszkę i podniósłszy ją do ust, lała w gardło, co tylko gęba objąć mogła, potem podawała Pojacie, lecz oburzona jej odmówieniem, rzekła:

— Cóż to? chcesz we mnie wmówić — rzekła — że gorzałki nie pijesz? A już też to nadto, chyba ci szatan pokutę naznaczył, niechże i tak będzie. Teraz, kochana kumciu! przystąpimy do rzeczy, żebyś wiedziała, w jakim ja kłopocie! Jużci nie spadło na mnie żadne nieszczęście, bo przecie człowiek ma się czem zastawić, idzie mi tylko o uczynienie małej komuś przysługi, za którą spodziewam się pięknej nagrody. Wiesz, że w naszem rzemiośle jeden drugiego winien wspomagać, owóż, moja miła! masz mi dopomódz, a ja się z tobą zyskiem podzielę.

Jakkolwiek Pojata, długo pozbawiona społeczności ludzkiej, cierpliwie znosiła gadaninę Katry, nieznośną nareszcie być jej zaczęła taka rozmowa, widząc jednak ciągłą jej natrętność, w nadziei, że się pozbędzie, pytała czego od niej żąda.

— Oto chciałabym wiedzieć — mówiła stara, zbliżywszy się do ucha dziewicy — jakie hasło jutrzejszym strażom przy bramach będzie rozdane.

---

*) Czarownice pławiono w rzekach i stawach, aby dyabłów z nich wypędzić.

— Moja panno! nie dowiesz się tego odemnie, ja żadnych z nikim związków tu nie mam.

— Jużci mnie tego mówić nie trzeba, wiem, że się każdy ciebie wystrzega, ale nie darmo jesteś młodą i piękną, posłuchaj tylko. Przed godziną stanął u mnie gospodą jakiś cudzoziemiec i chce zamek obejrzeć; jak ci wiadomo, trudno się tu teraz dostać bez hasła. Polacy i Litwini dyabelnego naszym napędzili strachu, że i człowiek poczciwy jest teraz w podejrzeniu, wszędzie straż, sto razy trzeba się opowiadać za każdym krokiem, a jabym chciała koniecznie, aby mój gość na swojem postawił, bo widać piękny ma grosz i możnaby go dobrze pociągnąć. Dopomóż mi a zarobisz!

— A jakimże sposobem przebywasz te straże?

— Ja co innego, dla mnie niema straży, bo mnie każdy zna knecht i, nie pytając, przepuszcza, a potem niechby tylko zaczepił, moje też łachmany nie bardzo uderzają, ale cudzoziemiec, to zaraz: stój! kto jesteś? Ja mu radziłam, żeby się przebrał, ale on nie chce wejść na zamek inaczej, jak uzbrojony. Czy oszalał! mnie i siebie zgubiłby na wieki; jużci ja mam między stróżami zażyłość i możebym łatwo wyciągnęła na słówko, tylko trzebaby mi w pomoc tak pięknej buzi, jak twoja, chodź więc, chodź, poznasz tego chłopaka, żwawy, nie ma co powiedzieć.

Pełna zgrozy Pojata zapewniała, że nietylko nie zdoła jej życzeniu zadość uczynić, lecz nawet, gdyby miała hasła wiadomość, nie udzieliłaby jej nikomu, bo wie dobrze, jak często z tej nieostrożności złe wynikają skutki, prosiła zatem staruszkę, żeby dała jej pokój.

Rozgniewana Katra już się na nowo zabierała do wymówek, gdy wiodący straż dowódca nagle u drzwi stanąwszy, pytał Pojaty, o jakiem to haśle i bramach rozmowę prowadzi? Struchlała dziewica, nie wiedziała co odpowiedzieć, lecz Katra śmiało się stawiąc, ciągle powtarzała, iż sam nie wie, o co się pyta i że nie powinien w cudze sprawy się mieszać, przytem różne dawała znaki milczenia Pojacie. Rozgniewany dowódca odepchnął babę, przykazując, żeby się więcej nie pokazywała, jeśli chce całe mieć kości. Pojacie zaś oświadczył, że z rozkazu mistrza przed jej drzwiami straż stawia.

Wytrącona czarownica, idąc w swoją drogę, klęła i odgrażała się. Pojata tymczasem pytała dowódcy, czy nie jest obwinioną o co nowego, lecz skąpy słów Krzyżak, zrobiwszy powinność, drzwi jej opuścił, straż zaś postawiona mniej jeszcze chciała wdawać się w rozmowę.

Domyśliła się Pojata z przedsięwziętych środków, że mistrz już wrócił. Wnioski jej mylnemi nie były. Wjechał on do stolicy państw swoich, oddychając zemstą i gniewem. Lękał się, żeby ośmielony nieprzyjaciel nie wpadł do Prus i mszcząc się pożóg poczynionych w Litwie przez Andrzeja i Świętosława, państw jego wzajemnie nie zniszczył. Temi dręczony myślami, komtura Sundsteina, jako najpierwszą przyczynę chybionego celu, postanowił pociągnąć do najściślejszej odpowiedzialności. Chciał on w ukaraniu jego i zemście własnej dogodzić i wojsku wystawić przykład praw surowości, lecz przewidując oraz, jak wielką Zakonowi zadałby skazę, gdyby sprawę tę jawnie rozstrzygał, jak gorszące czarów i odstąpienia religijnych prawideł łączą się z nią zarzuty, postanowił sąd na tajnej kapitule*) odprawić.

*) Kapitułą u Krzyżaków nazywa to się zebranie wszystkich dostojników Zakonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Szklanna Góra.

Serdecznemu Przyjacielowi Jantkowi z Bugaja.

Gdzie las gęsty, bór ponury,
Czarodziejska lśni niecota,
Tam na szczycie Szklannej Góry
Śpi w letargu Wolność złota.

Czarownicy ją uśpili,
Czarem skleili powieki,
Czar taki na nią rzucili:
By przespała długie wieki.

Sen jej ciężki, nieprzyjemny,
Śpi bezwładna, odrętwiała...
Obudzić ją — trud daremny,
Bo ze szkła jest góra cała.

Hej! szkło gładkie, góra śliska...
Nijak na nią się wyspinać...
Próbowali już ludziska...
Ale szkoda i zaczynać!...

Śmiałków, — którzy próbowali,
Bielą się pod górą kości...
Wszyscy karki poskręcali...
Niełatwo dojść do Wolności!...

By ocucić ją z uśpienia,
By uwolnić ją koniecznie,
Coraz nowe pokolenia
Kuszą się — lecz bezskutecznie.

Próżno pną się po jednemu,
Próżno biegną ramię w ramię...
Jedna dola z nich każdemu:
Każdy — kark ze szczytu łamie!

Próbowali jasne pany,
Bracia-szlachta próbowali,
Próbowali i mieszczany...
Wszyscy karki poskręcali!...

Nadaremnie śmiałków próby;
Nigdy się tam nie dostaną...
Żaden nie uniknie zguby,
Jest bowiem przepowiedziano:

Że dokażą tego oto
Chłopi, gdy się ławą ruszą;
Oni zbudzą Wolność złotą,
Zbudzą, lecz się ruszyć muszą!

Gdy dłonie podadzą sobie,
Górę opaszą pierścieniem,
Gdy poplują w ręce obie,
Wtargną na szczyt jednem tchnieniem.

Szturmem wezmą Górę Szklanną,
Czarowników o ziem rzucą,
Przerwą Senność nieustanną,
Z letargu Wolność obudzą!...

Jacek Obrochta.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

33.

Po śmierci Michała Wiśniowieckiego znowu bez liku zjawiło się takich, którym szła ślinka na koronę w Polsce. Ale gdy przyszło do wyboru, hetman Stanisław Jabłonowski krzyknął:

— Jan Sobieski, co pobił Turka, niech nam króluje!

Inni panowie krzyknęli za nim:

— Niech żyje Sobieski!

I tak tedy, Bogiem a prawdą, najlepiej zrobiono, bo Sobieski i usłużył Ojczyznie pod Chocimem i znany był jako dobry żołnierz.

Nim jednak król koronował się, wyruszył przeciw Turkom i odpędził ich aż za Dniepr. Ale i po koronacyi nie dali mu spokoju, lecz otoczyli go pod Żórawnem, a gdy już Polakom zaczynało brakować żywności, Turcy pogodzili się z królem.

Za panowania Jana Sobieskiego Turcy w strasznej sile, mieli 300 tysięcy wojska i 300 armat, wpadli do kraju austryackiego i oblegli Wiedeń.

Ówczesny cesarz austryacki Leopold ze strachu uciekł ze stolicy, a tylko 16 tysięcy wojska zostawił w Wiedniu, aby się broniło. Taka hurma Turków, waląc a waląc z armat przez dwa miesiące, pogruchotała mury fortecy, że tylko cudem jeszcze się trzymała, do tego w każdem spotkaniu rąbano Niemców nieboraków, jak drwa w lesie.

Przybyli więc do Sobieskiego posłowie, jeden od cesarza, drugi od Papieża, a padłszy mu do nóg, wołali:

— Królu, ratuj Wiedeń! ratuj chrześcijaństwo! Sobieski, zebrawszy 30 tysięcy żołnierza, poszedł ratować Wiedeń. W całem wojsku wielka była ochota, sam król gdy wsiadł na koń, rzekł:

— Proszę Boga, żebym tylko tych Turków zastał, a nie trudno będzie o tureckie konie!

Jakoż ziściło się życzenie królewskie: zastał Turków i zgarbował im ogromnie skórę (1683 r.).

Jeszcze 15 lat żył dzielny król, a gdy umarł w 1696 r. w Wilanowie, żal powszechny panował po nim w całej Polsce.



Posłowie błagają Sobieskiego o pomoc.

Obrady Sejmu.

W bieżącej sesyi sejmowej jedną z najważniejszych a zarazem najtrudniejszych do przeprowadzenia spraw jest zmiana ordynacyi wyborczej do Sejmu. Wiele jest stronnictw, a każde chciałoby mieć inną reformę wyborczą dla siebie jak najkorzystniejszą, więc trudno dojść na jedną do zgody. Doniosłe w tej sprawie ma znaczenie stanowisko rządu centralnego, gdyż, chociażby nawet stronnictwa zgodziły się na jednę reformę wyborczą, to jeżeli nie jest ona po myśli centralnego rządu, nie otrzyma zatwierdzenia cesarskiego. Jakie jest zapatrywanie rządu, wynika z oświadczenia namiestnika, o którem pisaliśmy w poprzednim numerze *Roli*, że rząd nie mógłby się zgodzić na takie prawo wyborcze, które byłoby powszechnem i równem, chociażby było ograniczone pluralnością głosów i zatrzymywało kuryę. Rząd więc chce aby każdy stan miał jak dotąd osobną kuryę, tylko żeby prawo wyborcze do tych kuryj było rozszerzone.

Największe stronnictwa w kraju, jak konserwatywne i ludowe, zbliżają się projektami zmiany prawa wyborczego do projektu rządowego, Rusini zaś i polskie stronnictwa demokratyczne, złączone w związek, który się nazywa lewicą, żądają równego prawa głosowania.

Na jednem z posiedzeń Sejmu dyskutowano żywo nad obecną drożyzną w kraju. Wszyscy posłowie uznają, że przeciw drożyźnie należy się bronić, lecz nie zgadzają się co do środka, jakim należy walczyć z drożyzną. Sejm jak i cały kraj dzieli się w wyborze środków na dwie partye. Mieszczanie chcą uchylić drożyznę w łatwy sposób, przez otwarcie granic dla dowozu obcego bydła, mięsa itd., co byłoby połączone z wielką szkodą dla rolników, rolnicy więc na to nie mogą się zgodzić.

Poseł Stapiński na jednem posiedzeniu postawił wniosek naglący przeciw dopuszczeniu obcego bydła w granice państwa. Zaznaczył, że w państwie austryackiem poczyna się budzić prąd przeciw rolnictwu i rząd austryacki już godzi się na dopuszczenie pewnej ilości mięsa argentyńskiego. Ze wszystkich stron słychać ustawiczne narzekania na rolników, którzy nibyto chcą wygłodzić miasta. Zapomina się jednak, że wytwórczość rolnicza nie mniej jest warta od wytwórczości nierolniczej i zasługuje na te same względy i prawa. W naszym kraju 95 procent ludności składa się z rolników, więc działalności skierowanej przeciw tej ludności nie można

inaczej nazwać, jak działalnością na szkodę kraju, albowiem w hodowli bydła i nierogacizny są nietylko interesowani wielcy właściciele, ale także i rolnicy ubożsi. Interesowani w hodowli bydła są u nas także niżsi urzędnicy państwowi, krajowi i gminni, którzy na przedmieściach hodują bydło, dalej nauczyciele itd., słowem interesowany tu jest cały kraj. Jest więc właśnie obowiązkiem tych 5 czy 10 procent nieinteresowanej w tem ludności większych miast pójść razem z tą olbrzymią większością ludności rolniczej i jej ustąpić.

Następnie p. Stapiński przedstawił zły stan rolnictwa w kraju. Ten rok był przynajmniej w niektórych okolicach średnio dobry. I teraz przyszła znowu z zagranicy zaraza i 40 powiatów w kraju jest zamkniętych. Jeżeli teraz jeszcze targi zostaną zaopatrzone w mięso zagraniczne, to znowu cena tak spadnie, że poprostu nie opłaci się bydła sprzedawać. Dalej zaznaczył poseł Stapiński, że gdyby rolnictwo nie było w stanie tak zaniedbanym, by z powodu braku regulacyi rzek nie było narażone na powodzie, zaś z braku zdrenowania gruntów nie było narażone na posuchy, gdyby włościanie mieli tańszy kredyt, toby rolnictwo nasze mogło krajowi dostarczyć trzy razy tyle mięsa, jak go mamy dziś.

Należy więc pospieszyć naszemu włościaństwu radą i pomocą w sprawie podniesienia chowu bydła i nierogacizny i nie dozwolić sprowadzania z zagranicy mięsa i bydła, które robi konkurencyę chłopom a nadto jeszcze spowoduje zawleczenie zarazy.

Posłowie miejscy przemawiali za otwarciem granic dla dowozu obcego bydła. Izba, mimo opozycyi posłów miejskich, odesłała wnioski Stapińskiego do komisyi gospodarstwa krajowego.

W ubiegłą sobotę odbyło się posiedzenie sejmowego Koła polskiego, w którem brali udział nietylko polscy posłowie sejmowi, ale i posłowie do parlamentu. Sejmowe Koło uchwaliło utworzenie Rady narodowej, której zadaniem będzie bronić naszych interesów narodowych w kraju i za granicą. Przy wyborach do Rady państwa i Sejmu Rada narodowa będzie się starała przeprowadzić jak najwięcej polskich posłów. Rada narodowa składać się będzie z 30 członków. Z tej liczby konserwatyści w dwóch grupach przedstawią po 5 kandydatów na członków Rady narodowej, demokraci również w 2 grupach po 5, stronnictwo ludowe 5, centrum 2, partya chrześcijańsko-socyalna 1, posłowie do żadnej nie należący grupy 2. Desygnowanie członków przez stronnictwa nastąpi później.

Na ostatniem, wtorkowem, posiedzeniu Sejmu wystąpił poseł Bojko i oświadczył imieniem stronnictwa ludowego, że nie bierze ono winy na siebie, jeżeli reforma wyborcza krajowa nie dojdzie w tym roku do skutku, gdyż jego stronnictwo godzi się na ustępstwa, ale inne stronnictwa, zwłaszcza konserwatywne, są mniej ustępliwe. W imieniu prawicy sejmowej przemawiał poseł Jędrzejowicz i oświadczył, że jego stronnictwo także pragnie reformy i gotowe jest rokować o ugodę, ale nie wystarcza ugoda jednego lub dwóch stronnictw, lecz potrzeba zgody wszystkich stronnictw, aby reforma wyborcza została uchwalona.

Czytelniku! Niech nie braknie nigdzie naszej „Roli“,
Ona w pracy Ci pomoże, pocieszy gdy boli...
W przykrych chwilach rozweseli, zabawi w potrzebie,
A gdy trza, to pouczy, uświadomi Ciebie.



MACIEK BZDURA GADA:

Z mojom gospodynią to ino strapienie mam i nic więcej. Powiadam gospodarzowi, jagbyśmy się tak oba umówili i gospodynię zmienili, toby było całkiem inacy. Co prawda, to tam mój gospodarz uściwy człowiek, ze ani gadania, ale właśnie la tego przydałaby się jem insa baba, a mnie znowu insa gospodyni.

Z taką babą to ani rady! Wiecór, po robocie, jakby se człek troche na wsyćkie strony chciał odetchnąć, to gospodyni zaraz wyrcą:

— Maciek, posedbyś spać, kiej ni mas co robić!

A ze ja ta zawse posłusny człowiek, wale co duchu spać i spałbym tak Bóg wie dokąd. Ale jesce się człowiek dobrze na drugi bok nie obróci, a tu juz gospodyni padają:

— Maciek, a wstołbyś chyclu, bo juz słonko dawno z za Bartkowy stodoły wylazło.

— Kazaliście spać, to śpię — ja jem na to — ale wam nigdy nie recht i sami swojego kazania nie dotrzymujecie, ino je do góry ogonem obracacie.

— Nie pyskuj — powiadają gosposia — ino wstaj do roboty.

Ha, co robić! Jag się człowiek z gospodynią w garści urodził, to jej musi słuchać i kuniec.

To ta ze spaniem i robotą to jesce fraśki, bo jak się spi, to się nie robi, a jak się robi, to się przy tem choć krzynkę przedrzymać można; ale gorzej z jedzeniem... Gospodyni niby to gadają do mnie:

— Maciek, chodź zryć — ale ledwie człowiek godzinkę przy jedzeniu posiedzi, to ich coś tak pili, ze zaraz wrzescą:

— A kiedyz se ta juz pochlas, ty nienazarty męcenniku!

To ze mną, to tam jesce grzecnie, ale z gospodarzem, to nie trza wam gadać! Od rana do wiecora nic insego nie słychać, ino tarkotanie gospodyni:

— A insyby to.... a insyby tamto.... a insyby tego... a insyby tamtego... a insyby temu... a insyby tamtemu... i tak w kółko od poranku do samego wiecora.

Gospodarz, ze to człek spokojny i rozumny, to ino na ziemię spluną, capkę nacisną na usy i robią swoje. Jakby tak na insego trafiło, toby gospodyni tak porządnie i tego... i tamtego...

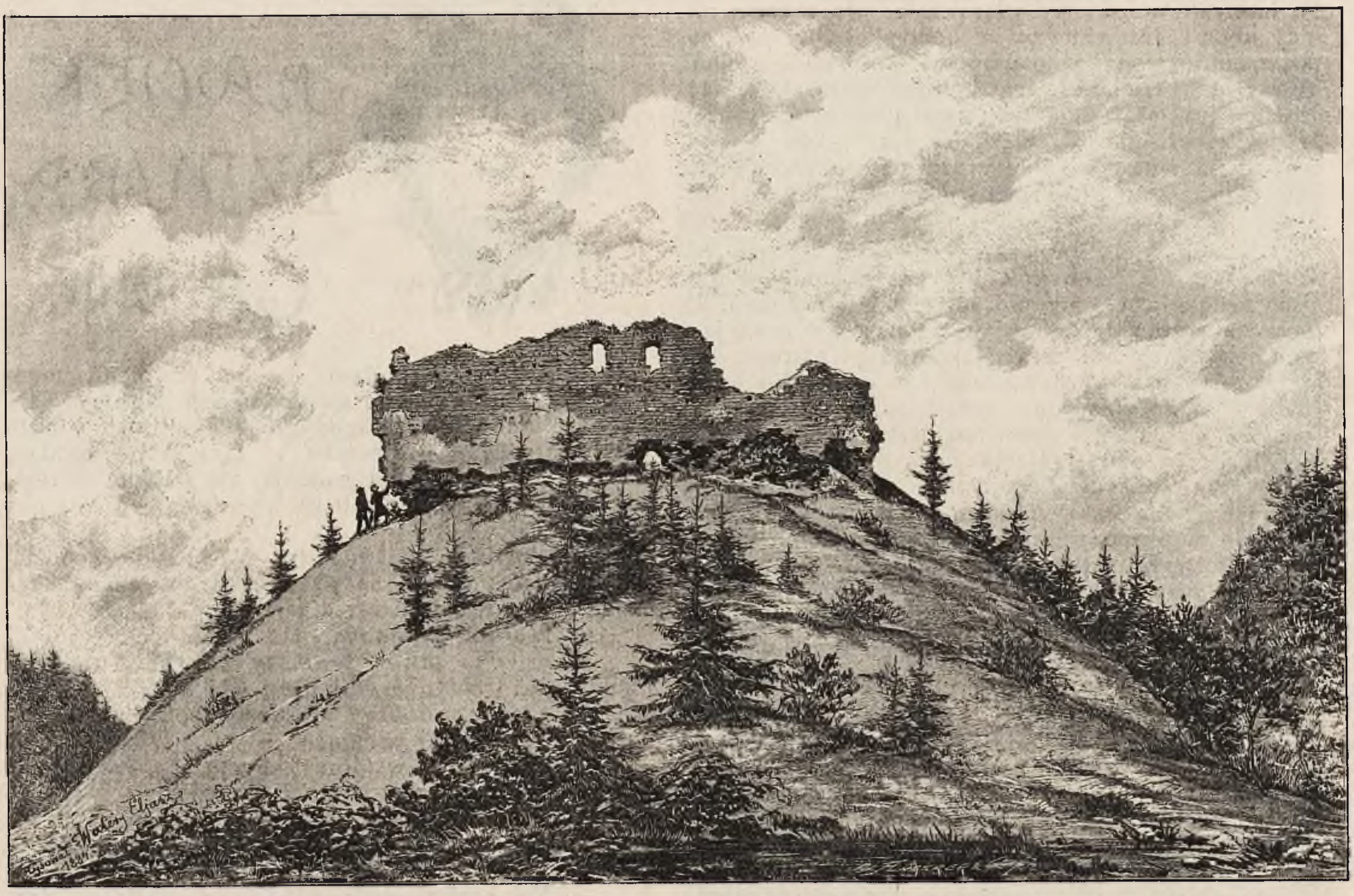
Gadam więc do gospodarza:

— Słuchajcie gospodarzu! kiej w Portugalii mogli najjaśniejszego króla wygnać, gdzie pieprz rośnie, to my przecie we dwóch jednej babie radę damy. A za gospodynią nie ujmie się ani Francya, ani Anglia, ani zadna insa kawaleryja, a my oba będziewa mieć spokój do skończenia świata.

Myślicie, ze się zgodzili? Gdzietam! — pedzieli ino jedno jedyne mądre słowo: — Głupiś!...

Ha, jak gospodarz powiadają: »głupiś«, to ono chyba prawda być musi.

DYABEŁ BORUTA NA ZAMKU ŁĘCZYCKIM.



W Królestwie Polskiem, nad rzeką Bzurą, leży miasto Łęczyca, liczące dziś ponad 10 tysięcy mieszkańców. Znaczenie Łęczycy i jej grodu było za panowania Piastów bardzo doniosłe; w r. 1180 odbył się tam sławny zjazd panów i biskupów polskich z księciem Kazimierzem Sprawiedliwym. Powiat łęczycki należy dziś do najbardziej przemysłowych w całej Polsce, gdyż posiada kilkaset fabryk.

W Łęczycy znajdował się w dawnych latach zamek, w którym, według podania, miały być nagromadzone ogromne skarby. Skarbów tych pilnował dyabeł nazwiskiem Boruta. Jak opowiadano, nie był to taki dyabeł w kusym fraczku niemieckim, ale całkiem polski dyabeł — w kontuszu i przy karabeli. Dyabelską swoją sztuką tak potrafił się przeistoczyć w eleganckiego młodzieńca, że gdyby nie rożki wystające z kędzierzawych włosów i cienki ogonek, wyglądający z pod kontusza, niktby go za dyabła wziąć nie mógł, ale za zwykłego śmiertelnika.

Zdarzyło się, że jednego czasu mieszkała w Łęczycy niebrzydka a posażna dziewczyna, która koniecznie chciała wyjść zamąż. Mimo jej urody i majątku mężczyźni nie kwapili się ku niej, gdyż znano ją powszechnie z jej nadzwyczajnej gadatliwości. Jak zaczęła mleć gębusią rano, to zaledwie wieczór kończyła, a i to nie całkiem, gdyż często gęsto i w śnie z ust jej wypływały słowa.

Ten i ów z mieszkańców Łęczycy pokusił się, aby dziewczynę ową przegadać, ale bezskutecznie.

Pewnego razu kilku swawolników postanowiło skłonić koniecznie ową gadulską, aby poszła do zamku łęczyckiego na rozmowę z Borutą. W tym celu zmyślili, że do zamku przyjechał jakiś panicz, który postanowił się ożenić, nie zważając na urodzenie i majątek, byle tylko ładną znaleźć dziewczynę. Opowiadanie to urządzili tak, że ich niby mimowoli podsłuchała owa dziewczyna.

Nie zwłócząc, pobiegła do domu, wystroiła się w najpiękniejsze szaty, a wspinając się pod wysoką górę, doszła do zamku łęczyckiego. Całą drogę mówiła sama do siebie, jakby ona to sobie życie urządziła, jako żona zamożnego pana; jakie miałaby stroje i t. p.

Gdy już znalazła się obok zamku, zobaczyła w jednem z jego okien dorodnego młodzieńca, którym nie był nikt inny, tylko sam dyabeł Boruta.

Dyabeł, zobaczywszy dziewczynę, pokłonił się jej szarmancko, a pokręciwszy wąsa chciał grzecznie powitać. Dziewczyna jednak zaczęła w tej chwili mówić, a mówiła tak szybko, że Boruta, mimo najszczerszych chęci, nie mógł ani słowa się odezwać. Tłumaczyła się więc najpierw, że ona tylko przypadkowo pod zamek podeszłą; potem opowiadać zaczęła o sobie i swoich najbliższych, a wreszcie prawie o każdym znajomym słów kilkadziesiąt powiedziała.

Wielokrotnie starał się Boruta coś odezwać, lecz zawsze bezskutecznie. Na mowie jej spłynął dzień cały i noc się zaczęła. Dyabeł stawał się coraz niecierpliwszym, bo i ku północy się zbliżało, a on o tym czasie musiał iść do piekła, aby przełożonym zdać sprawę. Tymczasem gadulska pytlowała...

Gdy już do północy brakowało zaledwie kilka minut, a dyabeł widział, że do słowa nie przyjdzie, rozgniewał się okropnie i zaryczał tak przeraźliwie, że mury, jakby domki z kart, runęły, grzebiąc pod sobą gadatliwą dziewczynę.

Odtąd na wyniosłem wzgórzu znajdują się tylko ruiny zamku takie, jakie widać na naszym obrazku. W ostatnim miesiącu zawaliła się i ta resztka pozostała z zamku, który odegrał taką ważną rolę w historyi i podaniach ludu polskiego.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

POTWALE I WIELORYBY.

Przez parę tygodni płynęliśmy na południe i zachód, w stronę Ameryki południowej. Mniemałem, że doszedłszy do przylądka Horn, zwróci się na zachód i puści się na ocean Spokojny, by tam zakończyć swą drogę naokoło ziemi. Stało się inaczej; popłynęliśmy dalej, ku Australii. Więc gdzież się udamy? do bieguna? To szaleństwo! Zacząłem przypuszczać, że zuchwalstwa kapitana Nemo usprawiedliwią obawy Ned-Landa.

Od niejakiego czasu nie rozpowiadał mi już Kanadyjczyk o swych projektach ucieczki; stał się małomówny, milczący prawie. Widziałem, że niewola ciężyła mu niezmiernie, że się w nim gromadziły burze gniewu. Jego oczy płonęły ciemnym ogniem, gdy spotkał kapitana — i obawiałem się ciągle, aby gwałtowność wrodzona Kanadyjczyka nie powiodła go do jakiego wybuchu.

Zapewne, że jednostajność życia na »Nautilusie« nieznośną musiała być dla Kanadyjczyka, przywykłego do życia swobodnego i czynnego. Mało co zdarzało się takiego, coby go głęboko zająć mogło. Przecież dnia 24 marca właśnie zdarzyło się coś, co mu przypomniało piękne jego dni oszczepnika.

Około jedenastej rano »Nautilus«, płynący po powierzchni, wpadł między trzodę wielorybów — co mnie bynajmniej nie zdziwiło, bom wiedział, że te zawzięcie prześladowane zwierzęta, schroniły się w okolice podbiegunowe.

Siedzieliśmy na wierzchu statku podczas morza zupełnie spokojnego. Kanadyjczyk pierwszy dostrzegł, a on nie mógł się omylić, wieloryba na widnokręgu, w stronie wschodniej. Wpatrzywszy się pilnie, można było widzieć jego grzbiet czarniawy; wznoszący się i kryjący naprzemian, o jakie pięć mil od »Nautilusa«.

— Ach! — zawołał Ned-Land — gdybym był teraz na pokładzie jakiego statku wielorybiego! Dopieroż miałbym rozkosz! Ogromna to jakaś sztuka! Patrzcie państwo, jak potężnie biją z jego otworów strumienie wody. Niech dyabli porwą, że człowiek siedzi tu jak przykuty na tym kawałku blachy!

— Widzę, żeś jeszcze nie zapomniał twoich dawnych nawyknień, przyjacielu!

— Alboż może który wielorybnik zapomnieć swego zawodu?

— Pewnieś nigdy nie polował na tych wodach?

— Nigdy, panie profesorze; tylko na morzach północnych.

— Zatem nie znasz się jeszcze z wielorybami australskimi. Tamte północne nie odważyłyby się przejść przez gorące wody równika.

— Co też pan mówi, panie profesorze! — rzekł Kanadyjczyk z niedowierzaniem. Przecież ja sam, nie dawniej jak półtrzecia roku temu, schwytałem blizko Grenlandyi wieloryba, mającego jeszcze w sobie oszczep jednego z wielorybników z cieśniny Beringa. Pytam się pana, czy to być mogło, aby wieloryb uderzony oszczepem na zachodzie Ameryki, dostał się na wschodnią jej stronę, jeśli nie przepłynął około przylądka Horn, lub przylądka Dobrej Nadziei, a więc nie przebył równika?

— Wieloryby — odparłem — trzymają się pewnych miejsc, a gatunki ich żyją tylko w pewnych właściwych im morzach, których nigdy nie opuszczają. Jeśli jeden z nich przeszedł z cieśniny Beringa do cieśniny Davisa, to dlatego, że istnieje przejście północne między temi dwoma morzami, czy to od strony Ameryki czy od strony Azyi.

— Ale czyż to zaraz znaczy, że jeślim nigdy nie polował w tych tu stronach, to już nie znam się z tutejszymi wielorybami?

— Ja tak utrzymuję, mój przyjacielu. Ale to jedna racya więcej, żeby się z nimi zapoznać!

— Patrz, patrz! — krzyknął Kanadyjczyk głosem wzruszonym — zbliża się do nas, idzie ku mnie, kpi sobie ze mnie! Wie, że mu nic zrobić nie mogę.

Ned tłukł nogą o pokład; ręka jego drżała, jak gdyby w istocie trzymał w niej oszczep.

— Ach! oto coraz bliżej nas podpływa — wołał Kanadyjczyk, nie spuszczający oka z morza — idzie prosto na nas. Pan mówisz o potwalu, jakby o jakiem drobnem stworzeniu, a jednak ja słyszałem, że i one bywają ogromne. A jakie one mają być mądre! podobno niektóre z nich okręcają się roślinami wodnemi, żeby ich nie wypatrzono, żeby myślano, że to wysepka. Ludzie wysiadają na nie jak na ląd, usadawiają się tam, rozpalają ogień...

— Budują na nich domy — dorzucił Konsel.

— A ma się rozumieć! — dodał, śmiejąc się, Ned-Land. — Aż nagle zwierzę zanurza się w wodę i zabiera z sobą mieszkańców na dno. Ale tego pan pewnie nie wie, panie Aronnax, że zaraz po stworzeniu świata wieloryby mogły pływać jeszcze prędzej.

— Doprawdy — a to dlaczego?

— Bo wówczas ruszały ogonem na poprzek, w prawo i w lewo. Gdy jednak Stwórca zobaczył, że za prędko pływają, spłaszczył im ogon wręcz przeciwnie temu, jak miały go spłaszczony dawniej i teraz poruszają nim i biją wodę z góry na gół, ze szkodą swej szybkości.

— A to doskonale! — rzekłem — a przybierając dawniejszy ton Kanadyjczyka, dodałem: Mamże temu wierzyć?

— Niekoniecznie — odpowiedział Ned — nie więcej jak i w to, gdybym powiedział, że bywają wieloryby długie na 300 stóp, a ważące sto tysięcy funtów.

— Byłoby to bardzo wiele — odparłem. — A jednak muszą być niektóre ogromne, skoro, jak utrzymują niektórzy, można mieć z jednego wieloryba sto dwadzieścia beczek tranu.

— Tyle już i ja widziałem — rzekł Ned-Land.

— Wierzę temu, że niektóry wieloryb równa się ogromnym stu słoniom. Pomyślcie tylko co za potęga, taka machina rzucona z całą szybkością!

— A czy to prawda — zapytał Konsel — że wieloryb może zatopić okręt?

— Okręt, nie zdaje mi się, choć opowiadają, że w 1820 r. właśnie na tych samych morzach południowych, na których jesteśmy, wieloryb rzucił się na okręt »Essex« i odepchnął go z taką gwałtownością, że statek ten odskoczył z szybkością czterech metrów na sekundę. Woda dostała się do niego od tyłu i okręt zatonął prawie zaraz.

Ned spojrzał na mnie filuternie.

— Jam także poznał, co to jest uderzenie ogona wielorybiego — rzekł — rozumie się, że w moją łódź tylko. Ja i moi towarzysze wylecieliśmy w górę na sześć metrów. Ale to chyba był maleńki wielorybek, przy tym wielorybie, o którym mówi pan profesor.

— Czy te zwierzęta długo żyją? — zapytał się Konsel.

— Tysiąc lat — odpowiedział bez namysłu Kanadyjczyk.

— A skądże wiesz o tem?

— Bo tak mówią.

— A dlaczego tak mówią?

— Bo wiedzą.

— Nie, mój kochany, nie wiedzą, tylko przypuszczają, opierając się na rozumowaniu. Po raz pierwszy zaczęto polować na wieloryby, jest temu lat czterysta. Zwierzęta te były ogromniejsze wówczas niż dzisiaj. Dosyć więc naturalnie przypuszczać można, że mniejszy wzrost dzisiejszych pochodzi stąd, iż nie dają im czasu wyrosnąć jak należy.

Ned-Land nie słyszał, bo nie słuchał; pożerał oczami wieloryba zbliżającego się ciągle.

— Ah! — zawołał — to nie jeden wieloryb! jest ich tam dziesięć czy dwadzieścia — gromada cała! A ja nic nie mogę zrobić, jakbym miał ręce i nogi związane!

— Ależ — zauważył Konsel — trzeba iść do kapitana prosić, żeby pozwolił zapolować.

Jeszcze nie skończył, a już Ned zsunął się otworem do wnętrza statku i poleciał szukać kapitana. Niebawem przybyli obaj na pokład zewnętrzny.

Kapitan przypatrywał się gromadzie wielorybów, igrających może o milę od »Nautilusa«.

— To wieloryby australskie — rzekł — statki wielorybnicze znalazłyby tu majątek.

— A więc, panie kapitanie — odezwał się Ned-Land — nie mógłbym ja zapolować na nie, choćby dlatego tylko, abym nie zapomniał mego rzemiosła dawnego.

— Na co się zdało polować dla samego tylko zabijania? — rzekł kapitan; — nie potrzebujemy tranu.

— A jednak pozwoliłeś pan upędzać się na morzu Czerwonem za dugungiem!

— Bo chciałem dać mej załodze świeżego mięsa, tutaj zaś byłoby to zabijać dla zabijania tylko. Podobni tobie, mości Nedzie, zabijając wieloryby, stworzenia dobre i nieszkodliwe, spełniają czyn naganny. Daj pokój tym biedakom. Dosyć one mają naturalnych nieprzyjaciół, potwalów, szpadników, piły, żebyś jeszcze i ty, mości Ned, chciał bić na nich.



... „Nautilus" wszedł między trzodę wielorybów.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką miał minę Ned-Land, słuchając tej lekcyi moralności. Na co się zdały zapalonemu myśliwemu takie wyrazy? Ned patrzył na kapitana i widocznie go nie rozumiał. A jednak kapitan miał słuszność — bo zacięte i nierozważne prześladowanie wielorybów sprawi, że nadejdzie czas, w którym nie będzie już wielorybów w oceanie.

Ned-Land gwizdał sobie zcicha piosnkę amerykańską, włożył ręce w kieszenie, i odwrócił się tyłem do nas.

Kapitan przypatrywał się ciągle gromadzie wielorybów i rzekł do mnie:

— Miałem słuszność mówiąc, że nie licząc człowieka, wieloryby mają dosyć naturalnych nieprzyjaciół; te oto będą miały niezadługo do czynienia z groźnymi przeciwnikami. Widzisz pan, panie Aronnax, tam pod wiatr, o ośm mil może od nas, te czarne, poruszające się punkty?

— Widzę, kapitanie.

— Są to potwale, straszne zwierzęta! Spotykałem niekiedy ich gromady po dwieście lub trzysta sztuk liczące. O! te należy wytępiać, bo to są okrutne i złośliwe stworzenia.

Na te słowa Kanadyjczyk obrócił się nagle.

— Więc, panie kapitanie — rzekłem — pozwól mu spróbować dla dobra samych wielorybów.

— Na co się narażać, panie profesorze? »Nautilus« sam im poradzi. Ma on ostrogę stalową, która tyle znaczy przynajmniej, co oszczep Ned-Landa, zdaje mi się.

Ned-Land nie żenował się; wzruszył ramionami, co miało znaczyć: »kto kiedy słyszał, żeby ostrogą statku uderzać na takie stworzenia, kiedy można oszczepem?«

— Czekajże, panie Aronnax — rzekł kapitan — zobaczysz pan polowanie, jakiego nie widziałeś jeszcze. Będę bez litości dla tych okrutnych istot, bo to tylko paszczęka i zęby!

»Paszczęka i zęby! nie można było lepiej określić potwala mięsożernego, dochodzącego niekiedy dwadzieścia pięć metrów długości. Ogromna głowa tego potwora morskiego zajmuje około trzeciej części całego ciała. Potworna ta gromada potwalów zbliżała się ciągle; dojrzała wieloryby i myślała rzucić się na nie. Zgóry można było być pewnym, że zwyciężą, bo i lepiej są zbudowane do walki ze spokojnym nieprzyjacielem, i dłużej mogą wytrwać pod wodą bez wypływania na powierzchnię dla oddechu.

Czas było biedz na pomoc wielorybom. »Nautilus« zanurzył się; ja, Ned i Konsel zasiedliśmy przy szklanych ścianach salonu. Kapitan Nemo poszedł do klatki sternika, by kierować swym statkiem jako narzędziem zniszczenia. Wkrótce poczuliśmy przyspieszone uderzenia śruby dla zwiększenia szybkości statku.

Walka potwalów z wielorybami już się rozpoczęła, gdy »Nautilus« nadbiegł i zwrócił się tak, by rozdzielić gromądę napastników. Mało one zrazu zdawały się zwracać uwagi na nowego potwora, mieszającego się do walki; ale wkrótce musiały strzedz się jego ciosów.

Co za spotkanie! Sam Ned-Land wkrótce dał się zupełnie porwać zapałowi i zaczął przyklaskiwać. »Nautilus« stał się straszliwym oszczepem, miotanym ręką kapitana. Ciskał się na te masy mięsiste i przecinał je na pół, zostawiając za sobą drgające dwie części zwierzęcia. Nie czuł nawet potężnych uderzeń ogonów tłukących jego boki, ani tych, których sam

dokonywał. Zabiwszy jednego potwala, rzucał się na drugiego, obracając się na miejscu, żeby mu nieprzyjaciel nie umknął; posuwał się, cofał, zagłębiał się za ściganym przeciwnikiem, wracając w górę, gdy tamten wracał, zadając mu cios wpół lub ukośnie, przecinając lub rozdzierając, przebijając swoją ostrogą.

Straszna rzeź i łoskot na powierzchni fal! Słychać było szczególny jakiś gwizd rozgniewanych potworów i właściwe im w przerażeniu chrapanie. — Wśród warstw wody tak głębokich, że zwykle bywają spokojne, ogony tych zwierząt sprawiały kołysanie się fal, jak na powierzchni.

Walka, której potwale nie mogły uniknąć, trwała z godzinę. Łączyły się one niejednokrotnie i uderzały razem na statek, jakby go własnym ciężarem zgnieść chciały. Przez szyby »Nautilusa« widać było ogromne ich paszcze wyłożone zębami i groźne ich spojrzenia. Ned-Land nie mógł się powściągnąć, by im nie grozić i nie złorzeczyć. Usiłowały zająć paszczą nasz statek, jak psy dopadające dzika pod lasem. Ale »Nautilus« porywał je z sobą, unosił w górę lub zatapiał, nie czując ich ciężaru, tem mniej ich tłoczenia. Nareszcie przerzedziła się gromada potwalów, fale uspokoiły się. Wypłynęliśmy na powierzchnię, otworzono wyjście i wstąpiliśmy na pokład.

Morze pokryte było pokaleczonymi trupami. Gwałtowny jaki wybuch nie zdołałby bardziej porozdzierać, poszarpać tych mas mięsistych. Pływaliśmy wśród ciał olbrzymich, niebieskawych na grzbiecie, białawych pod brzuchem, i jakby garbatych od ogromnych na nich narości. Kilka potwalów widać było na horyzoncie, jak uciekały przerażone. Na przestrzeni kilku kilometrów morze rumieniło się od krwi, wśród której pływał »Nautilus«.

— A cóż, mości Ned-Land? — rzekł kapitan, przystępując do nas.

— A? cóż panie kapitanie — odrzekł Kanadyjczyk, uspokojony już ze swego uniesienia; — było to straszliwe do widzenia! Ale ja nie jestem rzeźnikiem, tylko myśliwym — a to była rzeź!

— Była to rzeź zwierząt zbrodniczych — odpowiedział kapitan; — »Nautilus« to nie nóż przecie.

— Już ja wolę mój oszczep — odparł Kanadyjczyk.

— Każdy używa swej broni — rzekł kapitan, patrząc znacząco na Ned-Landa.

Ten ostatni gotów był posunąć się do jakiej gwałtowności, z którejby smutne skutki wyniknąć mogły. Ale gniew jego zesłabł na widok wieloryba, do którego się »Nautilus« właśnie zbliżał.

Zwierzę to nie uniknęło zębów potwala. Leżał na bok, nieżywy; jego brzuch popłatany był paszczęką napastniczego nieprzyjaciela. U poszarpanych pletw wieloryba trzymał się jeszcze mały wielorybek, także nieżywy. Przez jego pysk otwarty przelewała się woda, szemrząc uderzana o fiszbiny.

Kapitan kazał skierować statek tuż obok trupa wieloryba. Dwaj jego ludzie weszli na zwierzę i z wielkiem mojem podziwieniem wydobywali z rozpłatanej piersi wszystko znajdujące się w niej mleko, którego było dwie albo trzy beczki.

Kapitan ofiarował mi filiżankę tego mleka, ciepłego jeszcze. Zdobyłem się na oświadczenie, że mleko to jest wyborne i że niczem się nie różni od krowiego. Przyznałem, że tak jest, gdym skosztował. Była to więc pożyteczna zdobycz dla osady; bo można było mieć z tego mleka masło lub ser, urozmaicające pożywienie na statku.

Z niepokojem zauważyłem, że od tego dnia usposobienie Ned-Landa dla kapitana stało się jeszcze gorsze niż było dotąd. Postanowiłem zblizka czuwać nad mową i gestami Kanadyjczyka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Rewolucya w Portugalii.

Portugalia, kraj leżący w południowo-zachodniej stronie Europy, przeżywa w ostatnich dniach niezwykłe wstrząśnienie. Oto od 4 października wybuchła tam rewolucya. Na ulicach Lizbony, stolicy tego kraju, zawrzała walka, armia i flota połączyły się z rewolucyą. W jednej chwili poprzecinano druty telegraficzne, poniszczono połączenia kolejowe, wskutek tego wiadomości zagranicę przedostawały się tylko z trudnością.



Od miesięcy już oczekiwano wybuchu rewolucyi w Portugalii, bo dzieje tego kraju, to dzieje rewolucyi, królobójstw, przekupstwa i nadużywania władzy. Jest to kraj, gdzie 80 procent ludzi nie umie czytać i pisać

Pamiętają czytelnicy nasi okropne królobójstwo, jakie miało miejsce na ulicach Lizbony w dniu 1 lutego 1908 r., gdy król Don Karlos i następca tronu zbroczyli krwią swoją bruk ulicy. Na tron wstąpił wtedy 19-letni młodzieniec Manuel II. Nie dorósł on trudnym zadaniom władzy królewskiej, jakie go w kraju czekały, nie dorośli im również doradcy królewscy, którzy się zmieniali bezustannie, aż przyszło wreszcie do wybuchu rewolucyi. Młody król na okręcie ratował się ucieczką, a władzę objęli natychmiast samozwańczy przywódcy rewolucyi.



Rządy swoje zaczęli od wypędzania księży, od zamykania kościołów i prześladowania wszystkiego, co nie było po ich myśli. Dążą oni otwarcie do tego, aby wyrugować z kraju i religię. Takie postępowanie nie przyniesie im nic dobrego, bo gdzie brak błogosławieństwa Bożego, tam i szczęścia być nie może.

Pierwszy z naszych obrazków przedstawia króla Manuela w stroju koronacyjnym, zaś drugi chwilę, gdy piechota marynarki, która rozpoczęła rewolucyę, atakuje pałac królewski, a wierna królowi piechota go broni.

KRONIKA.

Marya Konopnicka. W sobotę, 8 b. m., w zakładzie kąpielowym Kiselki we Lwowie, zgasła pieśniarka polska, Marya Konopnicka, po dłuższej chorobie, licząc 64 lat życia. Komuż nie znane są jej piękne wierszyki, w których opisuje wieś polską i jej cuda? Wielu z jej poezyi uczą się w szkołach dziatki nasze na pamięć, i wszystkim tkwi zapewne dobrze w pamięci wierszyk p. t.: »Nie sprzedam ci ziemi«. Pogrzeb Konopnickiej odbył się we wtorek we Lwowie, a podobno czynią starania, aby zwłoki jej przewieźć do Krakowa i pochować w Grobie Zasłużonych na Skałce, gdzie spoczywa już ośmiu znakomitych Polaków. Niechaj jej lekką będzie ziemia, którą tak ukochała.

Zbrodnia na Jasnej Górze. Śledztwo w sprawie ohydnej zbrodni, popełnionej w Częstochowie, przybiera coraz większe rozmiary. Zdaje się prawie nie ulegać wątpliwości, że morderca, o którym piszemy we wstępnym artykule, dopuścił się również i świętokradztwa. Znaleziono bowiem koło Proszowic klejnoty, z których została obrabowaną Matka Boska, a tą drogą właśnie uciekał Macoch. Będąc widocznie pewnym, że nie ujdzie pogoni, zakopał klejnoty w ziemi.

Władze duchowne postanowiły usunąć księży Paulinów z Częstochowy, a zarząd kościoła oddać księżom świeckim. Przykra to rzecz będzie oddalać się im z cudownego miejsca, ale dawno to rzecz stwierdzona, że za jednego łotra musi nieraz pokutować wielu poczciwych. Czy duchowieństwo świeckie obejmie Jasną Górę na zawsze, czy tymczasowo, nie wiadomo jeszcze.

Uroczystość grunwaldzka w Chronowie. W dniu 29 września b. r. odbyła się w Chronowie, wiosce położonej obok Wiśnicza, w powiecie bocheńskim, piękna uroczystość grunwaldzka. O godz. 10 przed południem odprawił w kościele miejscowym uroczyste nabożeństwo ks. kan. Stanisław Biedroński ze Zgromadzenia Księży Kanoników Regularnych Lateraneńskich w Krakowie. Podczas nabożeństwa wygłosił okolicznościowe kazanie proboszcz tutejszy ks. Adam Warzewski. Po południu, po nieszporach odbyło się przed kościołem poświęcenie pamiątkowego krzyża dębowego, na którym umieszczono stosowny napis. Następnie, niosąc krzyż, ruszył uroczysty pochód na rozstajne drogi, u wejścia do wsi, gdzie krzyż ustawiono. U stóp świeżo postawionego krzyża przemówił jeszcze gorąco proboszcz ks. Adam Warzewski, a chór, w piękne stroje krakowskie przebranych dziewcząt, odśpiewał pod kierownictwem p. Jana Piwowarczyka, kierownika szkoły miejscowej, szereg pieśni narodowych, poczem uczestnicy uroczystości udali się na odczyt »O bitwie pod Grunwaldem«, który wygłosił prezes wiśnickiego Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej p. pułk. Jan Byrnas. Po odczycie odegrało towarzystwo ochotników z Wiśnicza sztukę Rączkowskiego »Wóz Drzymały«.

W obchodzie, prócz ludności miejscowej, brali udział także licznie przybyli goście z okolicznych wsi i z Wiśnicza, oraz straż ogniowa z Kobyla, która także niosła krzyż przez część drogi.

Złodziej spłoszył sam siebie. W niezwykły sposób przywołał złodziej straż ogniową do zamku królewskiego w Poznaniu. Usiłował on skraść bateryę albo może przewody (druty) miedziane elektryczne. Przy tej czynności zetknęły się druty z przyrządem, wzywającym straż ogniową. Na dany sygnał przybyła straż i spłoszyła złodzieja a szkodę w drutach naprawiła.

Krwawy pobór do wojska. Podczas niedawno się odbywającego poboru do wojska (u nas ludzie mówią z niemiecka a źle po polsku: asenterunek, zamiast pobór) na Węgrzech, we wsi Dorwas, przyszło do rozlewu krwi. Poborowi zebrani z całej okolicy, nie mogli się pomieścić w domu, w którym urzędowała komisya wojskowa i rozłożyli się obozem na łące, niedaleko tego domu, czekając aż ich wywołają. Po niejakimś czasie nadeszła banda cyganów z muzyką, zatrzymała się i aby coś niecoś zarobić, zaczęła przygrywać. Młodym parobkom podobało się to, bo się nudzili, czekając bezczynnie, zaczęli chwytać cyganki w pas i tańcować po łące. Przy jakiejś okazyi pokłóciło się dwóch, zaczął się hałas, a do sporu wmieszali się wkońcu cyganie. Widząc to komendant posterunku żandarmeryi, kazał cyganom odejść, ci posłuchali i uspokoiło się.

Ale parobczakom węgierskim zasmakowała zabawa, więc zaczęli po kolei wykradać się z łąki i schodzić w karczmie poblizkiej, gdzie zakwaterowali się cyganie. Na to znowu nie chcieli pozwolić żandarmi i wezwali poborowych do powrotu, napominając, że nie wolno żadnemu odejść z miejsca, póki się nie doczeka załatwienia swej sprawy wojskowej przez komisyę. Większość posłuchała i powróciła pod dom komisyi, ale paru nierozważniejszych a gorętszych, którym zasmakowało spoglądać w czarne oczy cyganek, zaczęło się buntować i wygrażać żandarmom, z czego znów ci nie byli zadowoleni.



Wreszcie, gdy jeden z żandarmów chciał wyprowadzić najbardziej się rozbijającego po karczmie, ten, uniesiony gniewem a podniecony wódką, rzucił się na komendanta posterunku. Kilku innych zaczęło pomagać napastnikowi a także jeden cygan rzucił się na żandarma z kijem. Wtedy żandarm dobył szabli i ciął nią głównego awanturnika tak nieszczęśliwie, że upadł i zaraz skonał. To nie opamiętało innych parobczaków, już pijanych także, i rzucili się na żandarmów. Wywiązała się walka, nadbiegli inni żandarmi i skończyło się na tem, że oprócz owego zabitego, czterech poborowych i dwóch żandarmów odniosło rany, a kilkunastu uwięziono i oddano do kryminału. Tak kończy się lekkomyślne nieposzanowanie praw i władzy, oraz nadużywanie wódki. Ta ostatnia najwięcej tu zawiniła.

Kontrabanda fałszywych rubli. Z Aleksandrowa, stacyi na pograniczu pruskiem w Królestwie Polskiem, donoszą, iż odkryto tam kontrabandę fałszywych pieniędzy rosyjskich. Pociągiem kuryerskim jechał z Paryża podróżny, niejaki Mikołaj D. Przy rewizyi jego kufra podróżnego urzędnicy celni wykryli, iż kufer ten ma drugie dno, po którego odbiciu znaleźli za 150.000 rubli fałszywych banknotów 100-rublowych. Kontrabandzistę i trzy inne osoby, podejrzane o współudział, aresztowano. W Rosyi jest za fałszowanie pieniędzy wyznaczona jeszcze większa kara niż u nas. Tylko za łapownictwo niema kar, to też jest strasznie rozpowszechnione.

Wiele strachu o nic. Panie miejskie miewają słabe nerwy, to jest lada co robi na nich silne wrażenie; przestraszają się choć niema czego, uciekają pomimo, że niema niebezpieczeństwa, a nadewszystko krzyczą i płaczą zupełnie bezprzytomne. Niedawno w Berlinie zdarzyło się, że na zabawie w ogrodzie publicznym miał się wznieść w powietrze wielki balon z kilkoma osobami, które zapłaciły po kilkaset koron, aby doznać przyjemności wzbicia się w górę i spojrzenia na naszą ziemię z tak wysoka, jak ptaki zwykle na nią patrzą.



O naznaczonej godzinie zaczęli po drabince sznurowej wchodzić zamówieni podróżni powietrzni; miało ich być dziewięciu, bo tylu mógł balon unieść. Zdarzyło się jednak, że kierownik balonu pomylił się w rachubie i dał sygnał do odjazdu w chwili, gdy dziewiąty dopiero zaczął wchodzić na drabinkę sznurową. Na dany znak balon, uwolniony od przytrzymujących go sznurów, odrazu wzbił się w górę, a spóźniony podróżny zaczął pod nim kiwać się na sznurze wielkimi łukami, jak wahadło u zegara. Widok ten sprawił niesłychane wrażenie na dole pomiędzy kobietami miejskiemi. Jedna krzyknęła ze strachu i zemdlała, inne zaczęły w popłochu uciekać i tak w przeciągu minuty zrobiło się pełno krzyku i jęków i takie zamieszanie, jak gdyby wybuchł pożar albo przytrafiło się inne nieszczęście. Co działo się między publicznością, można sobie wyobrazić, gdy się powie, że aż stopięćdziesiąt osób pokaleczonych i poranionych musieli lekarze opatrywać i leczyć. Tak przeraził delikatne panie wypadek niezwykły człowieka, któremu się nic nie stało nawet, gdyż nie stracił przytomności i, wydrapawszy się trochę po linie ku górze, dostał się bezpiecznie do kosza balonu i wraz z innymi w całości po paru godzinach powrócił na ziemię.

Okropny czyn rozegrał się w Petersburgu, w gubernialnym zarządzie żandarmeryi. Przywieziono tam z więzienia jakiegoś Kuzowa, który prosił przedtem, by mu pozwolono widzieć się z żoną, młodą, inteligentną i piękną kobietą. Widzenie miało się odbyć właśnie w siedzibie zarządu żandarmeryi. Zawiadomiona o pozwoleniu na odwiedziny Kuzowowa wzięła ze sobą na prośbę męża herbatę, cukier, tytoń i przybory do golenia. Widzenie odbywało się w osobnym pokoju zarządu żandarmeryi w obecności świadków. Upatrzywszy chwilę, gdy jeden z obecnych przy odwiedzinach oficerów żandarmeryi odwrócił się na chwilę, Kuzow po cichu poprosił żonę o brzytwę, jednym szybkim ruchem ją otworzył, i w tejże chwili przeciął żonie gardło. Kuzowowa, z głośnym krzykiem, zalana krwią, runęła na ziemię. Kuzow odwrócił się i rzekł spokojnie do przerażonego oficera żandarmów: »Zabiłem żonę«. Kuzowa, który się nie opierał zupełnie, rozbrojono i ubezwładniono. Żonę jego odesłano do szpitala, nieszczęśliwa jednak w drodze zmarła. Jedni mówią, że Kuzow obawiał się, by żona nie zdradziła, co wiedziała o jego działalności socyalistycznej, według drugich Kuzow, do szaleństwa o żonę zazdrosny, obawiał się, że nie zechce mu towarzyszyć na Syberyę, dokąd go miano wysłać na wygnanie.

Olbrzymi pożar szalał świeżo w Carycynie, w południowej Rosyi. W przeciągu 4 dni spłonęło 2600 domów, a 15 tysięcy ludzi jest bez dachu. Także straty w ludziach są bardzo znaczne. W jednym z zawalających się domów zginęło pod gruzami 30 osób. Inni zginęli w płomieniach przy ratowaniu swej chudoby, a wiele dzieci nie można się doszukać. Pożar wznieciły dzieci, które zapaliły z pustoty wełnę, a ogień dostał się do składu wełny i szerzył się z gwałtowną szybkością.

Żołnierze rosyjscy bandytami. W sądzie wojennym warszawskim rozpoznawano przed tygodniem sprawę trzech żołnierzy piechoty, mianowicie: b. studenta uniwersytetu Maczianasani, felczera wojskowego, Aleksiejusa i szeregowca Nejsztadta, oskarżonych o napad bandycki na mieszkanie kupca Grinberga w Siedlcach, dokonany w kwietniu r. b. Oskarżeni przyznali się do winy, tłómacząc się, że do zbrodni zabrali się pod wpływem czytanych powieści. Organizował napad czwarty żołnierz Brot, który zdołał uciec z pułku. Sąd skazał wszystkich trzech na 5 lat robót ciężkich. Jeden ze skazanych, Nejsztadt, przy wyprowadzaniu z gmachu sądowego zbiegł.

Zastrzelenie rewolucyonistów. Z Moskwy telegrafują: Na Twerskim bulwarze policya aresztowała młodego człowieka i młodą dziewczynę. Oboje rozpoczęli strzelać z rewolwerów. Widząc, że nie uda im się umknąć, młody człowiek zastrzelił swą towarzyszkę, sam zaś padł pod strzałami policyi. W ich mieszkaniu znaleziono wiele bomb i broni.

Przygoda w menażeryi. Menażeryami nazywają się, jak wiadomo, przedsiębiorstwa, w których poumieszczano różne zwierzęta z naszych krajów i innych. W wielkich miastach, w których mają dużo pieniędzy, znajdują się menażerye stałe, zwykle w ogrodach, a oprócz tego po małych miasteczkach jeżdżą menażerye wędrowne, gdzie klatki ze zwierzętami pakowane są na wozy. W stolicy Szwecyi Sztokholmie wydarzył się niedawno temu wypadek, który wywołał wielką wesołość. Oto w pewnej wędrownej menażeryi wystawione było również i akwaryum, czyli skrzynia szklana, napełniona wodą, w której można było ujrzeć bardzo wiele ciekawych okazów świata wodnego. Na widowisko to uczęszczała niemała liczba osób, z czego właściciel był bardzo zadowolony, bo codziennie ładny grosz chował do kieszeni.



Pewnego pięknego poranku spotkała przypatrującą się publiczność niemiła niespodzianka. Oto w wielkiej, oszklonej kadzi z wodą, w której ryby się znajdowały, pękła szyba, widocznie za słaba na ciśnienie wody, i cały strumień wody zalał w jednej chwili stojącą obok publiczność.

Szczególna ta kąpiel dotknęła bardzo przykro eleganckie panie miejskie, których suknie zostały zupełnie zniszczone. Wielki śmiech wywołała cała ta ilość ludzi pomoczonych na ulicach, spieszących do domów, aby się wysuszyć.

Pomnik kobiety. We Francyi wydarzył się przed kilkoma dniami rzadki wypadek: postawiono pomnik kobiecie. Pomnik Maryi Cottin, jednej z najbardziej znanych powieściopisarek francuskich, odsłonięto w Bigorre, miejscowości, w której za życia spędzała chętnie co roku lato. Urodzona w Paryżu w 1770 roku, pani Cottin wyszła bardzo wcześnie zamąż za bogatego bankiera, który się puścił na spekulacye i zbankrutował. Umarł wkrótce z rozpaczy. Marya Cottin została wdową, pozbawioną środków do życia. Jak przedtem używała życia i wydawała pieniądze garściami, tak teraz potrafiła się ograniczyć do rzeczy najniezbędniejszych i urządzić jak najskromniej. W swojem ubożuchnem mieszkaniu zabawiała się dla własnej przyjemności pisaniem powieści i skreśliła w ten sposób jednę powieść. Pewnego dnia przyszedł do niej przyjaciel zmarłego męża, którego władze republikańskie śledziły z powodu zapatrywań. Na wypadek, gdyby nie opuścił jak najspieszniej granic Francyi, groziła mu gilotyna. Do wykonania tego kroku potrzebował 50 franków, których nie posiadał ani on, ani pani Cottin. W tej wielkiej potrzebie wpadło jej na myśl, by się udać z gotowym rękopisem powieści do jednego z księgarzy i błagać go, ażeby odkupił powieść za jakąkolwiekbądź cenę. W ten sposób uratowała prześladowanego, a sama stała się sławną pisarką. Powieść bowiem cieszyła się wielkiem powodzeniem od pierwszego dnia wyjścia z pod prasy. Pani Cottin ogłosiła potem jeszcze cały szereg innych powieści, które z początkiem zeszłego wieku wyrywano sobie z rąk, tak były ładne.

Osunęła się góra w hiszpańskiej miejscowości Albanilla. Kamienie przebiły słomiany dach pewnej chaty, a masy ziemi zasypały wyjścia kilku inyych mieszkań. 7 osób zostało zabitych, a pewna ilość ranionych. Ranni przez 40 godzin nie mogli się wydostać z zasypanych mieszkań.

Najmniejszym człowiekiem na świecie jest karzełek, ulubieniec zrzuconego z tronu sułtana tureckiego Abdul Hamida, który mieszka obecnie uwięziony w pałacu w Salonice. Mierzy on mniej niż metr wzrostu, ale jest zupełnie kształtny i wygląda jak miłe dziecko. Podany tu rysunek pokazuje go w porównaniu z kołem karety sułtańskiej. Widać wyraźnie, że niewiele sięga głową ponad oś powozu. Ubierają go jak dorosłego człowieka, w cylindrze na głowie, a w Turcyi wzbudza to tem większą wesołość, że wszyscy ludzie chodzą ubrani inaczej, po turecku i każdy, kto jest ubrany po naszemu, wydaje się Turkom nieco dziwacznym.



Nowy sposób fabrykacyi masła. W Anglii niedawno rozpowszechniony został następujący nowy sposób przygotowywania masła śmietankowego, nadzwyczaj prosty, nie wymaga żadnych specyalnych przyrządów i odznacza się szybkością. Mianowicie po wydojeniu mleka, nagrzewa się je na słabym ogniu przez pół godziny do 80—90 stopni, przyczem nie należy go zagotowywać. Następnie stawia się mleko w spokojnem miejscu, aby ostygło i nie porusza się w przeciągu 12 do 15 godzin; po upływie zaś tego czasu zbiera się z mleka śmietankę, którą znowu stawia się na godzinę bez poruszenia i wkońcu ze śmietanki tej ubija się masło, jak zwykle, na co potrzeba tylko 1—2 minut czasu, ponieważ śmietanka ma 15—18 stopni ciepła.

Strzały w kościele. W Ameryce środkowej jest pomiędzy ludnością dużo murzynów, nibyto cywilizowanych i nawróconych z pogaństwa na wiarę chrześcijańską. Jednakowoż zachowują oni często wrodzoną dzikość, która przy lada sposobności wybucha. Z tego powodu murzyni są nielubiani przez resztę ludności białej, która upokarza murzynów, gdzie może i nie chce ich uznać za bliźnich, chociaż murzyni mają już równe prawa z białymi obywatelami. Ludzie sprawiedliwi walczą z tem uprzedzeniem i dowodzą, że i murzyn, jeżeli jest chrześcijaninem, a porządnie się prowadzi, jest wart szacunku i że nie należy go prześladować. Ta słuszna praca ludzi rozumnych nie trafia jednak ogółowi do przekonania, bo murzyni częściej niż inni obywatele dają powód do oburzenia, które często wybucha.



Niedawno zdarzył się na półwyspie Florydzie taki wypadek. Murzyn Jameson prowadził się niemoralnie, pił, nie pracował, w domu katował żonę i bił bratową, która żonę przed rozwścieklonym mężem broniła. Nieszczęśliwe kobiety nie mogły sobie dać rady i poszły na skargę do proboszcza. Ten posłał organistę po murzyna, sprowadził na plebanię i tu surowo strofował. Od siebie po drodze robił to samo organista, gdyż złe życie Jamesona znane było w całem miasteczku. Tem oburzył się murzyn i zamiast się poprawić, zaczął knuć zemstę. Gdy przyszła niedziela, czekał aż się rozpocznie suma i wpadł do napełnionego kościoła. Wydobył rewolwer i zaczął strzelać po kolei. Zbrodniarz służył długo u leśniczego rządowego, zatem strzelał celnie. Skutki jego strzałów były straszne. Padł na stopniach ołtarza kapłan odprawiający mszę św., jako męczennik swego apostolskiego urzędu, gdyż był to proboszcz właśnie, który chciał opamiętać niemoralnego człowieka. Drugi strzał ugodził żonę murzyna i jego bratową, przez zemstę, że chodziły na skargę do proboszcza. Czwarty strzał skierował dziki murzyn na chór, gdzie siedział organista i przygrywał do mszy św. Piąty wreszcie wymierzył w policyanta, który stał przed kościołem a usłyszawszy strzały wpadł do wnętrza i chciał wyrwać murzynowi broń. Wszystkie strzały ugodziły śmiertelnie w ofiary, ani jedna nie uratowała życia. Ostatnią kulę, która mu pozostała w rewolwerze, wpakował sobie Jameson w skroń i tak zakończył nędzne życie.

Miasta olbrzymy. Według ostatniego spisu ludności, ludność wielkiego Nowego Jorku liczy 4,766.000 głów, więc o 1,329.000 więcej jak w roku 1900. Szybkość wzrostu N. Jorku ilustruje fakt, że N. Jork założony został przez Holendrów dopiero w roku 1612 (pod nazwą Nowy Amsterdam), że więc ma za sobą jeszcze nie całe 300 lat istnienia. W r. 1890 Nowy Jork liczył dopiero półtora miliona mieszkańców. N. Jork jest dzisiaj największem miastem irlandzkiem i żydowskiem, a jednem z największych miast angielskich, niemieckich i polskich. Po Londynie jest największem miastem świata, w r. 1920 będzie większem od Londynu, a w r. 1930 równem Londynowi razem z Paryżem.

W Galicyi żadne miasto nie posiada jeszcze ani 200 tysięcy, ale i galicyjskie miasta, jak Lwów i Kraków, szybko się powiększają, choć nie tak, jak amerykańskie.

Milionerki przemytniczkami. Zdawałoby się, że bogacz, mając dość pieniędzy, nie będzie nigdy oszukiwał, a przecież rzecz się ma często inaczej. Przekonano się o tem w Nowym Jorku, gdy przedsięwzięto ścisłą rewizyę pakunku milionerki pani Reynolds Adriance i jej córki, o których otrzymano wiadomość, że podczas pobytu w Europie czyniły wielkie zakupy u złotników. Gdy w kufrach nic nie znaleziono, poddano obie panie rewizyi osobistej, i oto okazało się, że miały ukryte w gorsetach, pończochach i we włosach klejnoty wartości około 400 tysięcy franków. Ponieważ pani Reynolds Adriance jest małżonką znanego właściciela fabryki maszyn, posiadającego majątek milionowy, wypuszczono więc tak ją jak jej córkę na wolność, klejnoty wszystkie skonfiskowano. Ot, sprawdza się znowu twierdzenie, że kto ma dużo, chciałby jeszcze więcej.

Mówiący zegar. Mechanizmy zegarowe przechodziły w ciągu wieków najrozmaitsze koleje. Łączono je z różnymi aparatami, czy to z wielkimi dzwonami, jak przy zegarach wieżowych, czy z grającymi, które brzękiem marsza, lub innej melodyi wskazywały okresy czasu, czy z figurami, wykonywującemi w pewnych czasach pewne poruszenia. Zamieniano wskazówki na wyskakujące cyfry, oświetlano tarcze, łączono prądem elektrycznym szereg zegarów w jeden łańcuch, aby zapewnić dokładność wskazywania czasu. Wiele z tych mechanizmów i przyrządów zarzucono, inne utrzymały się i do dziś dnia pozostają w użyciu. Poza tem powstają ciągle nowe mechanizmy, mniej lub więcej interesujące.

Jedną z nowości takich, bardzo oryginalnych i mogących znaleźć praktyczne zastosowanie, jest zegar, przemawiający ludzkim głosem, głośnemi, wyraźnemi słowami. Mówiący zegar nie różni się wcale zewnętrznym wyglądem od zwykłego zegara. Jest to dosyć duża skrzynka ze zwykłą tarczą zegarową i wskazówkami przesuwającemi się normalnie; w chwilach między kwadransami nie zwróci też niczyjej uwagi. Dopiero gdy wskazówka stanie na godzinie, czy półgodzinie, czy kwadransie, zegar odzywa się nagle donośnym głosem: »dwunasta!«, »dwunasta piętnaście!«, »pół do pierwszej!« i t. d. Mechanizm zegara jest mianowicie połączony z silną elastyczną wstążką, która należy do fonografu, ukrytego wewnątrz skrzynki. Wskazówki zegara pozostają w ścisłym związku z fonografem, głos wydobywa się z lejka, umieszczonego poza otworem na szczycie zegaru. Nieprawidłowe działanie lub różnice między czasem wskazywanym a wymawianym są wykluczone, ponieważ wstążka obraca się za pośrednictwem wskazówek. Po wypowiedzeniu wszystkich godzin wstążka nastawia się sama na godzinę pierwszą; w razie jakichś nieprawidłowości w jej ruchu zegar staje.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Mateusz Zięba z O. B.).

Pierwszą i drugą zwierzęta karmione,
Drugą i pierwszą ziemniaki maszczone.

2. ZAGADKI.

(Nadesłał Michał Szymski z D.).

a) Co jest na końcu komina?
b) Co jest u Niemca na przodku?
c) Co jest u panny w pośrodku?

3. SZARADA.

(Nadesłał Józef Kobylański z L.).

Pierwsze — drugie złapać można w rzece
Pierwsze — trzecie rujnują nas wielce,
A całość natychmiast zobaczymy,
Gdy po Galicyi okiem rzucimy.

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy jak zwykle oprawną książkę z obrazkami. — Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 22 października. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 40 *Roli:* 1. Szarada: **Jesień**, 2. Łamigłówka: **Jan Matejko**, 3. Zagadka: **Wrona dlatego leci do lasu, bo las do niej nie przyleci.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Że przy obiedzie każdy je,
O tem czytelnik dobrze wie,
A że sień jest częścią domu
Nie zaprzeczę też nikomu.
Jesień musi być całością,
Każdy przyzna mi z dewnością.
Język jest to narząd smaku,
Astry mają dość zapachu,
Noga jest to wszak część ciała,
Marchew smaczna, doskonała,
Arfa głosem swym porywa,
Tygrys w menażeryach bywa,
Echo w górach jest silniejsze,
Jęczmień jest od żyta mniejszy,
Kawa dobra jest Wolnego,
Oset: pełno go jak złego.
Więc litery początkowe
Nazwisko dają gotowe:
Jan Matejko to artysta
I jest całość oczywista.
Las do wrony nie poleci,
Więc wrona do niego leci.
Józef Kobylański z L.

2.

Dopiero pół roku Maciek Bzdura z nami,
Zajmuje się *Rolą*, a przytem babami,
Lecz widocznie dzisiaj dużo już rozumie,
Bo nawet nie zgorsze wiersze pisać umie.
Gdy tak dalej pójdzie posłem wnet zostanie,
Wtenczas musimy mu mówić »Wielemożny Panie«,
A zagadki to już migiem rozwiązuje;
Kto więc już zna Bzdurę, to go i szanuje.
Za jego przyczyną nagrodę dostałem,
I w podróż »Balonem« swoim się wybrałem.
Śmiało do Krakowa »Balonem« steruję
Na błoniach przy budach z łódki wysiaduję;
Idę do Krakowa — w Floryańskiej bramie
Ktoś mię szturknął i zlekka uchwycił za ramie.
Oglądam się i patrzę, a to Maciek Bzdura,
Twarz znana czytelnikom, słowem, chłop jak góra.
Więc do Kulczyńskiego naczczośmy wstąpili,
I tam »kwaśnej z mocną« po jednym wypili.
Potem przez cały dzień chodzim po Krakowie,
W Muzeum Narodowem usiedliśmy sobie.
I pytam się Maćka: Co szarada znaczy?
A on mówi: Jesień, tak jest nie inaczej.
— A zagadka druga — pytam ośmielony:
Powiódł mnie przed obraz, gdzie Prusak pokłony
I hołd wielki składa królowi polskiemu...
Ja patrzę, nadziwić się nie mogę wszystkiemu.
Kto obraz malował zaraz Bzdury pytam?
Jan Matejko — mówi — za głowę się chwytam.

I podziwiam, że Maciek taki wykształcony
Nie w jednę i nie w dwie, lecz we wszystkie strony.
— A zagadka trzecia, co ona ma znaczyć?
I tu Maciek zaraz począł mi tłumaczyć;
Żeśmy tylko po to do Krakowa przyszli,
Że sam Kraków do nas ruszyć się nie myśli.
Pożegnałem Maćka w przyjaźni do zgonu,
On poszedł do *Roli*, a ja do Balonu.
Ale mi z powrotem wiatr nie bardzo sprzyja.
Zawadzam o wierzch drzewa — Balon się przebija;
Ja spadam! o ziemię sobą uderzyłem
Z bolu-m mocno krzyknął, aż się obudziłem,
I to bardzo wielkim szczęściem dla mnie było,
Że to nie na jawie, tylko mi się śniło.

Karol Baron z P.

3.

Kiedy obiad jadamy
To w sieni nie siadamy,
Lecz w jesieni owoce
Z drzewa obieramy.

Językiem zaś mówimy,
Astrami się stroimy.
Noga służy do chodu,
Marchew niosę z ogrodu.
Arfę, to ja mam w domu,
Tygrys grozi każdemu.
Echo leci z wiatrami,
Jęczmień żniemy sierpami.
Kawę piję co rano,
Oset z pola zebrano.

Wrona leci do lasu,
Bo las sam niema czasu,
By do wrony przypędzić,
Woli czasu oszczędzić.

Władysław Ćwicka z T.

4.

Teraz, jak zwykle w jesieni, muchy bardzo dokuczają,
Niektórzy dlatego w sieni śpią i obiady jadają,
Bo u dobrego Polaka czasem będzie, chcecie wiedzieć,
Sień ozdobna, piękna, taka, że aż warto w niej posiedzieć.
Ściany w sieni, choć niewielkie, ozdobione są mapami
I malarza Matejki także obrazami.
Wrona się w lesie wylęgła, urosła i wychowała,
Potem w pole wyleciała, ludziom szkodę wyrządzała:
Teraz, gdy się postarzała, choć nie może, ale przecie
Sama do lasu leciała, bo las do niej nie poleci
Zato pana Nowackiego pytam się w odwecie
Ta wrona w zagadce jego, czem do lasu leci?

Wincenty Cechowy z P.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP: Franciszka Andrusikiewicz z D., Władysław Dziwisz z W, Marcin Kowalczyk z J., Mateusz Zięba z O. B. (wierszem), Fr. Migdał z S., Wł. Lanoszka z S., Tadeusz Stypa z T., Adam Warchoł z Z., Józef Łyczak z H., Jakób Paff z Ch., Antoni Bilski z Ż., Adela Bezokówna z K. m., Józef Witkowski z N., R. Suchodolski z M., Józefa Hirszberg z K., Józef Krukurka z K., Józef Gąsior z S., Jan Łopatka z J., Antoni Kowalczyk z K., Wojciech Kapuściński z P., Michał Szymski z D., Michał Dudek z Ż., Pilecki Bartłomiej z W., Michał Pietryka z B., Władysław Stefański z G., Antoni Borowiec z K., W. Nowacki z Z., Wł. Bąbaś z H., Kazim. Suchodolski z H.

Jako nagrodę wylosował podobizny Jagiełły i Jadwigi p. **Władysław Dziwisz** z W.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Michał Dudek w Ż.: Zagadki rozwiązywać i nadsyłać do umieszczenia mogą także nieprenumeratorzy *Roli*, lecz nagrodę może otrzymać tylko prenumerator. — Jan Rogowski i Szczepan Czerniecki w H.: Prosimy przeczytać dobrze, cośmy pisali o podarunkach dla przyjaciół *Roli* w numerze 32. Wszystkich, którzy zachęcają do prenumerowania *Roli*, prosimy, aby zechcieli powiedzieć swoim znajomym, iż *Rolę* na okaz chętnie wysyłamy, ale na kredyt nie posyłamy bezwarunkowo. Kto chce więc *Rolę* otrzymać niech z góry pieniądze przysyła. — Leon Łętowski w S.: Prosimy o podanie za kogo prenumerata przysłana. — Antoni Borowiec w K.: Za obietnicę dziękujemy. — Franciszek Maziarz w Z.: Wysyłamy od półrocza, gdyby Pan chciał, możemy po otrzymaniu reszty całorocznej prenumeraty wysłać od Nowego Roku. — Michał Librant w B.: Kalendarz na 1911 r. będzie bezpłatnie, a tylko na przesyłkę trza będzie dołożyć 20 h. Po otrzymaniu pieniędzy żądane numera wyślemy.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Michał Chmielowiec z K. (2 K.), Franciszek Krystyan z Z. (1 K.), Jan Rogoski z H. (4 K.), Franciszek Dryka z C. (1 K.), Justyn Kącki z T. (1 K), Stanisław Nowak z P. (2 K.), Koło Macierzy szkolnej z K. M. (2 K.), Piotr Wojtonik z S. (1 K.), Maciej Laskowski z S. (1 K.), Wojciech Rzeszutek z S. (1 K.), Feliks Urbański z G. (1 K), Ks. Apolinary Roman z R. (4 K.), Franc. Maziarz z Z. (1 K.), Jan Żak z T. (4 K.), Dr. Emil Adelmann z M. (4 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 11 października:

Buhaje	Kor.	120	do	400	za sztuk.:
Woły	„	215	„	300	„
Krowy	„	140	„	220	„
Jałówki	„	80	„	200	„
Cielęta	„	30	„	80	„
Owce i kozy	„	18	„	20	„
Świnie (bita waga)	„	160	„	170	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 11 października:

Pszenica	Kor.	9·75	do	10·25	za 50 kg.
Żyto	„	7·20	„	7·60	„
Jęczmień	„	7·25	„	7·75	„
Owies	„	7·60	„	7·70	„
Otręby pszenne	„	4·30	„	4·65	„
Otręby żytnie	„	4·30	„	4·40	„

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.





W SZPITALU.

— Czy chory już dostał proszek na sen?
— Nie jeszcze.
— Dlaczego?
— Bo śpi.
— Głupstwo! Obudzić go i dać.

— Ludwik, ty jesteś mi niewiernym ja się utopię!

— To lepiej utopmy się razem, skoro tylko szewc moje ostatnie pary butów przyniesie, bo to przecież wielki wstyd boso się topić.

W WIĘZIENIU.

Dozorca: Jutro egzekucya. Proszę powiedzieć, cobyście chcieli zjeść przed śmiercią.

Skazany: Nie jadłem tego roku ogórków, bojąc się cholery... Teraz mogę chyba sobie na nie pozwolić.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.